

Etienne Gilson

## Laickość i laicyzm

"Człowiek w kulturze", 1994 nr 3, s. 161-168

Chcemy zbadać, czym jest laicyzm. Musimy jednak najpierw odpowiedzieć sobie na pytanie, czy coś takiego w ogóle istnieje, byśmy mieli prawo o tym mówić. Pytanie to zaskoczy wielu katolików. Byłoby ono dziwne również dla mnie, gdyby nie to, że przez lata nawykłem do obcowania z zawłościami myślenia, nieco mniej uproszczonego niż to, które zwykliśmy przypisywać naszym przeciwnikom. Czym jest więc dla nas laicyzm? Nie robimy z tego żadnej tajemnicy: jest to system twierdzeń, a więc doktryna, której właściwym celem jest zniszczenie religii. Otóż, jeśli wierzyć jednemu z najwytrawniejszych komentatorów tej doktryny, jest ona nie do podważenia przede wszystkim dlatego, że faktycznie nie istnieje. To, co istnieje rzeczywiście, to nie laicyzm — widmo wyrosłe w wyobraźni klerykalnej, lecz laickość, która nie jest doktryną, lecz faktem. Przyjrzyjmy się zatem dokładniej temu faktowi.

Jeśli chce się nam przez to powiedzieć, że państwo jest świeckie (*laic*), to wiemy o tym doskonale i nikt nie myśli temu przeczyć. Władza doczesna, odpowiedzialna za zarządzanie doczesnym porządkiem w celu zapewnienia ludziom dóbr doczesnych, jest, *de facto*, świecka, i daj Boże, żeby nigdy nie uznała się za nic innego! Natomiast, jeśli chodziłoby o zwrócenie naszej uwagi na fakt, że świec-

kość państwa nie jest wymysłem III Republiki, to szkoda czasu na przypominanie nam tego, gdyż wiemy i to, że państwo jest świeckie od samych początków i że nie czekało na czasy III Republiki, żeby się zwrócić przeciw Bogu. Ale przekonanie nas, że laicyzm nie istnieje, że jest on naszym wymysłem i że nie ma związku przyczynowo-skutkowego między nim a laickością, pojmowaną na ich sposób, to już jest, z przeproszeniem, wciskanie nam bzdury i świadczy o tym, że albo nasi przeciwnicy nie rozumieją, co mówią, albo myślą, że mamy ptasie mózdzki.

Laickość nie byłaby groźna, gdyby znaczyła tylko to, że państwo reprezentuje w sposób naturalny władzę świecką. Tymczasem zawiera ona w sobie także element woli — woli laickości — który komplikuje i zmienia istotę zjawiska. On to właśnie przekształca laickość w doktrynę: należy dążyć do tego, by państwo, z natury swej świeckie, zostało ponadto całkowicie odcięte od wszelkich wpływów religii. Laickość może naturalnie jeszcze dowodzić, że absolutnie nie występuje przeciwko religii jako takiej i zadowala się oddzieleniem jej od państwa; może więc również utrzymywać, że nie ma nic wspólnego z tym, co my zwalczamy, a co nazywamy laicyzmem. Nie przeszkadza jej to jednak lawirować między jednym porządkiem a drugim, traktując definicję państwa niekleroikalnego jako tożsamą z definicją państwa niereligijnego. Tymczasem są to pojęcia, których nikt nie ma prawa mylić: tak długo jak będą istnieli ludzie świeccy (laicy) prowadzący życie religijne, państwo, w którym będą żyli, będzie mogło być państwem świeckim, zachowując przy tym charakter religijny. Państwo zarządza dobrami ziemskimi dla celów doraźnych, w istocie doczesnych; byłoby więc całkiem zrozumiałe pozbawienie go kontaktów z religią, gdyby jego obywatele nie mieli innych celów niż teraźniejsze. Tak się dzieje w wypadku niektórych z nich i rozumiemy, dlaczego nie chcą, by państwo narzucało im jakąś formę życia religijnego, której wartości nie uznają, tym bardziej że państwo nie jest władne, aby z ich punktu widzenia, ani z naszego, jej im narzucać. Lecz nie dotyczy to wszystkich, a przede wszystkim nie dotyczy katolików, dla których to życie jest tylko oczekiwaniem na lepsze życie, do którego od dziś mają obowiązek się przygotowywać. Nie

tylko ksiądz katolicki, ale i osoba świecka nie zgadza się na ograniczenie ramami porządku doczesnego. Począwszy od chwili, gdy małe dziecko otrzymuje chrzest, jest w nim coś, czego największe i najpotężniejsze z imperiów nie będzie w stanie powstrzymać — rodzi się w nim życie duchowe, nad którym żadna ludzka siła nie będzie nigdy miała władzy. Doczesność nie jest duchowością, nie jest jednak również „areligijnością”. Osoba świecka to nie duchowny, lecz ona również może nosić zamię świętości; krótko mówiąc, podstawowym błędem laickości jest przekonanie, że osoba świecka musi być koniecznie istotą religijnie neutralną, a także stawianie znaku równości między brakiem charakteru kapłańskiego i brakiem charakteru religijnego.

Zrozumiałe się staje w tym momencie zarówno to, dlaczego laickość bez laicyzmu wydaje się naszym przeciwnikom rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem, jak też to, dlaczego nie potrafią na niej poprzestać. Otóż, nawet jeżeli nasze życie duchowe nie może zrodzić społeczności świeckiej, w której mogłoby się swobodnie rozwijać, to tworzy ono przynajmniej społeczność duchową — społeczność wiernych, którą ożywia; ponieważ tak się składa, że ci wierni należą do obu społeczności jednocześnie, nie jest możliwe, by każda z nich nie próbowała oddziaływać na drugą. Jest to tym bardziej niemożliwe, że Kościół, społeczność duchowa, głosi swój obowiązek i prawo do ochrony, we wszystkich państwach świata, wolności duchowej swoich dzieci. Jeśli więc laickość postawiła sobie za cel wyeliminowanie z państwa wszelkich wpływów Kościoła, rezygnując przy tym z zamachu na życie religijne katolików, to jest to nic innego, jak tylko próba rozwiązania kwadratury koła. Aby ustrzec państwo od wpływów Kościoła, w sytuacji gdy głosi on otwarcie swe prawo do wywierania tego wpływu, jedynym sposobem jest zlikwidowanie Kościoła. Otóż, istnienie Kościoła katolickiego to istnienie katolicyzmu; z tego wynika, że nie będzie można zniszczyć jednego nie niszcząc drugiego. Tak więc, aby osiągnąć swój cel, laickość będzie musiała zastosować metody laicyzmu, co starałem się pokazać.

Zdaję sobie sprawę, że zwolennicy laickości nie dadzą za wygraną. Przyciśnięci do muru wyciągają z zanadru ważki argument, ostatnią deskę ratunku przed konsekwencjami, których chcieliby uniknąć. Jeśli domagamy się Kościoła, to być może dlatego, że nie wiemy, co to jest religia. Czyż nie moglibyśmy zadowolić się religią bez Kościoła? Jakby to nadzwyczajnie uprościło sprawę! Czy każdy mógłby wielbić w swoim sercu Jehowę, Allacha czy Jezusa Chrystusa, nie czując się w obowiązku propagowania swego kultu i nawracania innych? Niech więc każdy tak czyni, a nie będzie nigdy trudności w stosunkach między państwem a religią.

Tak właśnie zalecał Aulardowi w „Action” z 21 sierpnia 1903 słynny Ferdinand Buisson, autor *La foi laïque* (Wiara świecka). Aulard był człowiekiem prostym i na swój sposób uczciwym. Pewnego dnia, widząc go zafrasowanym, spytałem o przyczynę. Powiedział mi, że pokazano mu nóż do gilotyny, którym ścięto głowę Ludwika XVI, ale „*nie jest pewien, czy to jest ten sam*”. Człowiekowi o umyśle tak zaprzątniętym własnymi przyjemnościami przez myśl by nie przeszło ukryć, że jedyną rzeczą, którą można, jego zdaniem, zrobić z religią, to ją zniszczyć. I powiedział to. Co za skandal! Czyż nie było to publiczne przeobrażenie laickości w laicyzm, ten laicyzm, który ponoć wymyślili katolicy? Ferdinand Buisson nie mógł nie zatuszować tej niebezpiecznej herezji i nie ma nic bardziej pouczającego dla nas niż sposób, w jaki to uczynił!

Nie, nie, drogi i uczony przyjacielu, pan nie chce zniszczyć religii. Chce pan zniszczyć to, co niesłusznie nazywa się religią. Pan chce zniszczyć dogmatyzm, fanatyzm religijny, materializm religijny, mistycyzm religijny, czyli wszystkie zniekształcenia i wypaczenia religii. Lecz wszędzie tam, gdzie napotyka pan coś prawdziwie religijnego, nie tylko nie myśli pan o zniszczeniu tego, lecz oddaje mu cześć, obdarza szacunkiem i miłością, jest pan nim wzruszony jak wtedy, gdy ujrzał nóż gilotyny, którym, *być może*, ścięto głowę Ludwika XVI. Przypuśćmy, chociaż również mamy swoje wątpliwości, ale co myśleć o zdumiewającym Buissonie?

. Bo jego morały mogą zadziwiać. Po pierwsze, wynika z nich, że jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, czym jest religia, są ci, którzy nie

wyznają żadnej; i że ci, którzy chcą praktykować jedną z nich, muszą zasięgnąć wiedzy o tym, czym ona jest, od tych, którzy żadnej z nich nie praktykują. Popelnilibyśmy błąd lekceważąc ten sposób rozumowania: jest on bardziej rozpowszechniony i sięga wyżej, niż by się mogło zdawać. To jemu zawdzięczamy farsę w wykonaniu jednego z naszych najznakomitszych filozofów współczesnych, ateisty, który nie wierzy ani w Boga, ani w Diabła, ale zarzuca wszystkim katolikom ateizm i materializm religijny, uczy reguł życia duchowego, i, jak św. Paweł, głosi radość prawdziwego nawrócenia. Nie chcąc popaść w laicyzm, łaickości nie pozostaje nic innego jak tylko zbudowanie nowej religii. Można byłoby się z tego uśmieć, gdyby nie to, że tacy ludzie roszczą sobie prawo do pouczeń na temat naszego myślenia.

\*

Tak się pechowo składa, że my domagamy się starej religii i że niewierzącym nie udało się jeszcze nas przekonać do nowej wiary, której oni są apostołami. Dla nas religia bez dogmatów — przyjąwszy, że w ogóle ta formuła ma sens — nie jest religią. W każdym razie nasza zawiera dogmaty i nam na nich zależy. Zawiera ona również elementy mistycyzmu i ani święty Bernard, ani święty Franciszek nie są dla nas bez znaczenia, zatem katolicyzm nie może ich lekceważyć. Nasze życie religijne zawiera nawet sporą część tego, co nasi nowi teolodzy — jeśli ich dobrze zrozumiałem — nazywają materializmem. Otóż akceptujemy naszą cielesność, bo ciało — poprzez liturgię, ryt — włącza się w porządek kultu, jaki człowiek — jedność psychofizyczna — winien Bogu oddawać.

Są to przekonania, przyznaję, bardzo dziwne, od których, jak rozumiem, błyskotliwy geniusz Ferdinanda Buissona chce nas uwolnić, ale — słusznie czy nie — nie zależy nam na tym, by nas od nich uwolniono, pragnęlibyśmy raczej, by nie uzurpowano sobie prawa do orzekania, jaka powinna być nasza religia, by zechciano ją respektować. Jeżeli laickość szczerze pragnie uznać naszą religię, to, naszym zdaniem, powinna ją przyjąć taką, jaką ona jest; ponieważ jednak ani

nie może, ani nie chce tego uczynić, będziemy w dalszym ciągu, z jej zgodą czy bez niej, określali laickość mianem, które oddaje w pełni jej prawdziwą istotę: laicyzm. Ale za laicyzmem kryją się inne tajemnicze siły, które go zrodziły, i jest w naszym interesie, by je ujawnić.

Z języka francuskiego przełożyli:  
**Zuzanna Eichler-Yalenti i Jan Sochoń**

## Posłowie

Etienne Gilson był filozofem i myślicielem bardzo konsekwentnym. Chcąc dociec, czym jest laicyzm, każe się w pierw zastanowić, czy coś takiego w ogóle istnieje. W perspektywie bowiem realistycznych założeń egzystencjalnej metafizyki istnienie ateizmu i pokrewnych mu postaw wydaje się niemożliwe, pozbawione dostatecznej motywacji. Jednakże pyta: czym jest laicyzm? I odpowiada: systemem zasad, a więc doktryną, której właściwym celem jest zniszczenie religii. Lecz tu właśnie tkwi problem, gdyż spotykamy nie tyle laicyzm — widmo wyrosłe w wyobraźni klerykalnej, ile raczej laickość (*laïcité*), która nie jest doktryną, lecz faktem oznaczającym, że państwo reprezentuje w sposób naturalny władzę świecką.

Gilson nawiązuje do tradycji, być może — choć nie mówi o tym bezpośrednio — do „Listu o tolerancji” J. Locke'a, w którym autor przedstawił jasno sprecyzowaną filozofię tolerancji, opartą na racjonalnych podstawach. Nie była to doktryna czysto polityczna. U jej źródeł leżała określona wizja człowieka jako istoty wolnej i rozumnej. Swoiście pojęty agnostycyzm poznawczy umożliwił dowód twierdzenia, iż żadne prawdy nie powinny być narzucane. Z pozycji indywidualizmu postulował więc Locke dość jednoznacznie tezę o rozdziale Kościoła od państwa, widząc w tym możliwość wprowadzenia tolerancji w życie społeczne. Bo najważniejsze są, uważał, indywidualne prawa rozumu ludzkiego.

Gilson, pomijając motywacje filozoficzne, uznaje założenia Locke'a. Władza doczesna jest faktycznie świecka i *daj Boże, żeby nigdy nie*

*uznała się za nic innego*. I gdyby tak rzeczywiście było, laickość nie zagrażałaby nikomu ani niczemu. Tymczasem zawiera ona w sobie także element woli — woli laickości (*la volonté de laïcité*), który przekształca laickość w zespół twierdzeń przekonujących do tego, że państwo z natury swej świeckie, powinno zostać całkowicie odcięte od wpływów religii. Oznacza to, iż należy utożsamić „świeckość państwa” z jego niereligijnością. Jednakże są to pojęcia, których nigdy nie wolno mylić. Rozumienie państwa i uchwycenie jego funkcji winno wynikać z właściwie ujętej wizji człowieka, w której jest on celem, a nie środkiem w ludzkim działaniu. Tylko wtedy możliwe jest uniknięcie społecznego zniewolenia, urzeczowienia jednostki, jakie miało i jeszcze ma miejsce w systemach totalitarnych, co uwidoczniło się już w teorii państwa platońskiego, a współcześnie w supremacji leninowskiego „ja kolektywnego” nad osobą. Być może, dla tych wszystkich, którzy uważają się za ateistów konsekwentnych, oddzielenie państwa od religii wydaje się konieczne i uzasadnione, a przyjęcie tezy, że państwo jest „racją bytową” jednostki, nie budzi wątpliwości.

Niemniej myślenie tego rodzaju nie dotyczy wszystkich, a szczególnie — powiada Gilson — nie dotyczy katolików, którzy traktują doczesność religijnie, nie ograniczają swych ludzkich doświadczeń do widzianego porządku. Życie ludzkie, w ich rozumieniu, nie jest celem samym w sobie, ale jest niejako „sposobem” przygotowania się do osiągnięcia szczęścia, które w języku religijnym zwiemy zbawieniem. Gilson wprowadza tu kategorie teologiczne. Przypomina, że chrzest, będąc sakramentem wtajemniczenia, czyni z człowieka „kogoś innego”, rodzi w nim życie duchowe, niezależnie od poczynań jakiegokolwiek ludzkiej władzy. Dzieje się tak, ponieważ sam Chrystus jest sakramentem i mocą synostwa Bożego łączy boskie z ludzkim. Jeżeli pominiemy ten fakt, nigdy w pełni nie zaakceptujemy wymagań Kościoła. Dlatego nie wypada popełniać błędu, który przynależy laickości stwierdzającej, że osoba świecka musi być koniecznie istotą religijnie neutralną, ponieważ nie sposób przekreślić łączności pomiędzy sferą aktywności duchowej i aktywności zewnętrznej. Kościół swym zasięgiem obejmuje całość działania osoby ludzkiej. Jeśli więc laickość (*laïcité*) chce „oczyścić” państwo spod wpływu Kościoła, to

nawet rezygnując z bezpośrednich ataków na życie religijne, nie dokona tego bez zlikwidowania zarówno katolicyzmu, jak i samego Kościoła. Oczywiście zwolennicy laickości chcieliby uniknąć takich konsekwencji i konieczności. Lecz, sugeruje Gilson, byłoby możliwe dopiero wtedy, gdyby zechcieli zrezygnować z laicyzmu, czyli pragnienia zniszczenia wszystkich przejawów religijności.

Jak dotychczas, nie podjęto tego zadania. Raczej umacnia się przekonanie o zbędności religii w życiu jednostek i społeczeństw. Powrót religii do polskich szkół (a właściwie: dyskusje i spory z tym związane) dowodzi powyższego w stopniu nie wymagającym uzasadnienia. Gilson posuwa się do stwierdzenia, że w Europie mamy dzisiaj wielu ludzi okrutnie zniewolonych, „żywcem pogrzebanych” przez ograniczenia wypływające z przyjęcia założeń wolnomyślicielstwa, pogaństwa, laicyzmu i jeszcze innych form życia sprawiających, że społeczności wolne od Boga stały się właściwie niewolnikami ludzi. Sądzę, że w obecnym bałaganie i dowolności interpretacyjnej, jaka owładnęła polską myśl polityczną i kulturową, przemyślenia i sugestie zawarte w pracach Etienne Gilsona mogą przyczynić się do pewnego rodzaju uspokojenia emocji, mają bowiem w sobie coś odświeżającego i łagodnego. Uczą poszanowania prawdy i szlachetności w rozmowie. A tego nam wszystkim szczególnie teraz brakuje.

*Jan Sochoń*